

Waitman Wade Beorn, *Marching into Darkness. The Wehrmacht and the Holocaust in Belarus*, Cambridge, MA-London: Harvard University Press, 2014, 313 s.

„Maszerując w ciemność” to książka poświęcona zbrodniom Wehrmachtu, a dokładniej rzecz biorąc – kilku masowym mordom popełnionym na Żydach na Białorusi przez oddziały armii niemieckiej. Badaczka mniej interesuje jednak samo śledzenie przebiegu wydarzeń, bardziej zaś motywacje niemieckich żołnierzy i mechanizmy, które przekształciły ich w powolne narzędzia hitlerowskiej polityki wyniszczenia Żydów. Książka wpisuje się bezpośrednio w nurt *Tätervorschung*, czyli badania sprawców.

Już we wstępie autor sygnalizuje, że przedmiotem jego zainteresowania będą pytania o uniwersalnym znaczeniu: Jak na najniższych szczeblach przejawiał się współdziałanie niemieckiej armii w zagładzie Żydów? Jak wyglądał udział poszczególnych żołnierzy w „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”? Czy ich zaangażowanie (i jego skala) zmieniały się wraz z upływem czasu? Dlaczego jedni żołnierze włączali się w dzieło Zagłady, a drudzy nie? Szukając odpowiedzi na te pytania, autor postanowił przyjrzeć się praktyce mniejszych jednostek, zazwyczaj kompanii lub plutonów, a nawet – ilekroć to możliwe – przejść na poziom analizy postępowania poszczególnych żołnierzy. *Marching into Darkness* ma wiele wspólnego z omówioną też w tym tomie pracą Stefana Klempa, mimo że *Freispruch für das Mord-Bataillon* dotyczy batalionu rezerwowego Policji Porządkowej, a książka Beorna – regularnych oddziałów Wehrmachtu. Podobnie jak Stefan Klemp, tak i Beorn dochodzi do wniosku, że atmosfera panująca w poszczególnych jednostkach wojskowych (którą nazywa „kulturą oddziałów”) oraz charakter dowódców w sposób decydujący kształtowały zachowania prostych żołnierzy. W analogiczny sposób obaj autorzy podkreślają wagę indoktrynacji i propagandy: wielokrotnie powtarzane kłamstwa o „żydokomunie” zaczęły z czasem ułatwiać żołnierzom racjonalizację udziału w mordowaniu Żydów. Trzecim ważnym elementem według Beorna (lecz i u Klempa można znaleźć podobne konkluzje) była długość „kontaktu z realiami Zagłady”. Innymi słowy, im dłużej określone oddziały (lub pojedynczy żołnierze) pozostawali wystawieni na realia masowych mordów, na obserwowanie okrucieństw, tym bardziej prawdopodobny był ich udział z praktykami wyniszczenia ludności żydowskiej.

Jeżeli chodzi o wspomnianą atmosferę panującą w oddziałach, czyli presję środowiskową wywieraną przez żołnierski kolektyw na towarzyszy broni, Beorn wspiera się na niedawno wydanych pracach Kühnego i Welzera¹.

¹ Thomas Kühne, *Kameradschaft: Die Soldaten des nationalsozialistischen Krieges und das 20. Jahrhundert*, Göttingen: Vandenhoeck & Ruprecht, 2006; Harald Welzer, *Täter: Wie aus ganz normalen Menschen Massenmörder werden*, Frankfurt am Main: Fischer, 2005.

Właśnie u Kühnego znajdujemy stwierdzenie, że spoiwem oddziałów był lęk przed „śmiercią towarzyską”, przed wykluczeniem z grona kolegów. Udział w mordach – pisał – był swoistą inicjacją, przepustką do uczestnictwa w grupie.

Podstawowym źródłem historycznym, na którym opiera się książka Beorna, jest około 400 zeznań złożonych po wojnie przed niemieckimi sądami przez niemieckich żołnierzy i dostępnych w znanym wszystkim badaczom Zagłady archiwum w Ludwigsburgu. Są to źródła, które – jak zresztą podkreśla sam autor – wymagają specjalnej troski. Po pierwsze, nie wolno zapominać, że zeznania zostały złożone w trakcie dochodzeń kryminalnych, w których świadkowie (oraz oskarżeni) usiłowali oddalić od siebie ciężar ewentualnej współodpowiedzialności za zbrodnie stanowiące przedmiot zainteresowania śledczych. Po drugie, wielu świadków w oczywisty sposób próbowało chronić byłych współtowarzyszy, wobec których nadal mieli poczucie lojalności. A po trzecie, prowadzący dochodzenie prokuratorzy realizowali inne zadania niż badający czasy wojny historycy, toteż pytania zadawane świadkom nie zawsze mogą dostarczyć odpowiedzi na zagadnienia interesujące współczesnych badaczy. Beorn, świadom tych metodologicznych pułapek, dodaje również inne ostrzeżenie: „nie możemy nigdy zapomnieć, że historia, którą opowiadamy, jest historią żydowskich ofiar, tych milionów ludzi, którzy zginęli, cierpieli lub – wbrew wszystkiemu – przeżyli hitlerowską próbę ich unicestwienia” (s. 23). W tym celu, tzn. w celu dodania żydowskiej perspektywy, amerykański historyk dołączył do podstawy źródłowej rozmaite źródła żydowskie: księgi pamięci, wywiady z USC Shoah Foundation czy też wywiady z ocalonymi z kolekcji USHMM. Wydaje się jednak, że odwołanie się do świadectw żydowskich przynosi więcej w formie niż w treści. Jest przecież jasne, że to nie cierpienie ofiar, lecz wybory żołnierzy niemieckich stoją na pierwszym planie i stanowią przedmiot zainteresowania autora. Ale o tym będzie mowa nieco dalej.

Od samego początku autor, przywołując liczne przykłady, ukazuje niedwuznaczne (i widoczne już od pierwszych dni wojny) zaangażowanie Wehrmachtu w ucisk, terror, a niebawem również w mordowanie Żydów na terenach podbitego Związku Sowieckiego. Już w lipcu 1941 r., niektóre oddziały armii niemieckiej uznały Żydów za oddzielną kategorię wśród ludności cywilnej i jako taką zagnały Żydów jako pierwszych do wycieńczających prac przymusowych (s. 57). Również latem 1941 r. administracja wojskowa wcieliła w życie kolejne elementy antyżydowskiej polityki hitlerowskiej, wprowadzając godzinę policyjną dla Żydów czy też nakazy noszenia łat z gwiazdą Dawida. Nastawienie wojskowej wierchuszki wiernie oddawało memorandum marszałka Wilhelma Keitla, który 12 września 1941 r. zalecił niemieckim żołnierzom szczególnie energiczną walkę z Żydami, „głównymi nosicielami bolszewizmu” (s. 60). Kolejnym krokiem podejmowanym przez wojskową administrację na terenach podbitej Białorusi² była przeprowadzana we własnym zakresie gettoizacja miejscowych Żydów.

² Autor pisze o podbitej Białorusi, nie wyróżniając anektowanych przez ZSRR w 1939 r. ziem polskich.

Celem autora jest jednak nie tyle snucie dywagacji natury ogólnej, lecz wysledzenie konsekwencji decyzji powziętych na wysokich szczeblach w terenie, na polu walki lub raczej na niemieckich tyłach. Pierwszym przykładem roli Wehrmachtu w wymordowaniu białoruskich Żydów jest udział dwóch kompanii 3 Batalionu 354 Pułku Piechoty w masowym mordzie w Krynkach. Krynki to mała miejscowość położona nieco ponad 100 kilometrów na północny wschód od Mińska. Przed wojną mieszkało tam 870 Żydów na 3500 mieszkańców. Większość krynkowskich Żydów trudniła się rzemiosłem bądź pracą najemną. Natomiast zmierzający w ich kierunku żołnierze 3 Batalionu w większości pochodzili z niemieckich kresów – z Alzacji i ze Śląska – w cywilu przeważnie byli robotnikami. Ich dowódcą był zawodowy wojskowy, major Johannes Waldow, chwalony przez podkomendnych jako człowiek prawy i godny zaufania; dobry przełożony. Autor odnotowuje również fakt, że żołnierze batalionu byli znacznie starsi od typowych rekrutów Wehrmachtu walczących na pierwszej linii – średnia wieku wynosiła 36 lat, czyli tyle samo, co w wypadku opisywanych wcześniej przez Browninga czy Klempa batalionów rezerwowych Policji Porządkowej. Już w pierwszych dniach lipca 1941 r. 3 Batalion wszedł do akcji, a jego zadaniem było pełnienie służby wartowniczej w obozie jeńców wojennych w Drozdach pod Mińskiem. To właśnie tam żołnierze zobaczyli z bliska horror prowadzonej „na Wschodzie” wojny na wyniszczenie. Jeńcy sowieccy umierali setkami, pod gołym niebem, z głodu i z ran. W Drozdach dochodziło też do częstych selekcji i egzekucji, a w niektórych brali udział żołnierze Wehrmachtu. Od czasu do czasu w obozie funkcjonariusze SS i SD znajdowali wśród jeńców Żydów – tych z miejsca rozstrzeliwano. Nie można wykluczyć, że pobyt w Drozdach ułatwił żołnierzom 3 Batalionu późniejsze działania i przygotował ich do udziału w wymordowaniu Żydów. 8 września 1941 r. w Krynkach, w których już od pewnego czasu stacjonowali żołnierze majora Waldowa, pojawiła się sekcja 8 Einsatzkommando (EK 8) należącego do Einsatzgruppe B (EG „B”), dowodzona przez młodego hitlerowca Wernera Schönemanna. Zadaniem ludzi Schönemanna było wymordowanie wszystkich Żydów w Krynkach, bez względu na płeć i wiek. Problem dowódcy sekcji EK 8 polegał na tym, że do dyspozycji miał tylko 20 ludzi, a zadanie wymagało udziału większych sił, których Schönemann zażądał od majora Waldowa. Ten, pomimo pewnych obiekcji, po konsultacji z przełożonymi w Mińsku wyraził zgodę i do pomocy Schönemannowi wysłał żołnierzy 10 i 12 Kompanii 3 Batalionu. Zgodnie z umową między EK 8 i Waldowem żołnierze mieli pełnić wyłącznie funkcje „osłonowe”, – czyli pomóc członkom Einsatzkommando w doprowadzeniu ofiar na miejsce egzekucji; sama egzekucja miała zostać przeprowadzona już wyłącznie przez ludzi Schönemanna. Stało się jednak inaczej: według złożonych ponad 20 lat później zeznań, niektórzy żołnierze wzięli udział w samej egzekucji, inni dobijali uciekające znad rowów ofiary, kolejni odpędzali ciekawskich gapiów, a jeszcze inni stali nad rowami, w których mordowano krynkowskich Żydów, i utrwalali to wszystko na pamiątkowych zdjęciach. Tak jak gdzie indziej, również w Krynkach, niemieccy żołnierze mogli odmówić udziału w egzekucji, lecz

prawie nikt nie skorzystał z tej możliwości – wręcz przeciwnie, okazało się, że w obu kompaniach jest sporo ochotników do planowanej „operacji”. Na 130 żołnierzy udziału w egzekucji odmówił jeden (!) żołnierz, niejaki Martin S., który oświadczył swojemu dowódcy porucznikowi M., że ma w domu czworo dzieci i nie może przyglądać się mordowaniu Żydów. Porucznik M. oddelegował wobec tego Martina S. do służby wartowniczej w koszarach – i tyle. Jeżeli chodzi o resztę, to, jak pisze Beorn, niektórzy nie umieli lub nie chcieli naruszyć solidarności grupowej oddziału, innych wciągnął „ciąg wydarzeń”, a jeszcze innych zdemoralizował przykład kilku przełożonych, takich jak starszy sierżant Schrade czy porucznik Hermann Nick, którzy odznaczyli się szczególnym okrucieństwem.

24 września 1941 r. w Mohylewie odbyła się narada zwołana przez dowodzącego zapleczem frontu generała Maxa von Schenckendorffa. Celem narady było porównanie doświadczeń w „działaniach przeciwko partyzantom”, pod którym to eufemizmem często kryły się mordy na Żydach. W naradzie wzięło udział ponad 60 oficerów Wehrmachtu (w tym wspomniany wcześniej major Waldow) oraz kilku członków Einsatzgruppen, w tym dowódca EG „B” Arthur Nebe oraz Erich von dem Bach-Zelewski, późniejszy kat Warszawy, a wówczas wyższy dowódca SS i policji przy Armijnej Grupie „Środek”. Już pierwszego dnia Nebe wygłosił trzyczęściowy referat, którego ostatni człon dotyczył „kwestii żydowskiej”. Zaraz po nim głos zabrał Zelewski, a potem kolejno występowali dowódcy Wehrmachtu, wymieniając się doświadczeniami. Ustalenia konferencji z Mohylewa zawarto w 16-stronicowym dokumencie końcowym, którego jednym z zaleceń było dalsze zacieśnienie współpracy między armią a jednostkami SS i policji. W dokumencie nie było co prawda ani słowa o Żydach, ale, jak twierdzi autor, z całą pewnością stanowili oni jeden z głównych punktów dyskusji. Na skutki konferencji nie trzeba było długo czekać: niecałe dwa tygodnie później żołnierze 3 Kompanii 691 Pułku Piechoty wymordowali wszystkich Żydów w miejscowości Kruchy. Sygnał do akcji dał niejaki porucznik Grosskopp, który – wróciwszy z Mohylewa – oświadczył swoim podwładnym, że: „gdzie jest partyzant, tam jest i Żyd. A gdzie jest Żyd, tam jest i partyzant” (s. 104). W tym wypadku mordu dokonali wyłącznie żołnierze Wehrmachtu, bez żadnego udziału policji czy Einsatzgruppen. Także wówczas żołnierze niemieccy mogli odmówić uczestnictwa w masakrze niewinnych cywilów – z prawa tego znów skorzystali nieliczni. Podobne mordy zostały odnotowane w rejonach operacji jednostek, których dowódcy wzięli udział w opisanym naradzie. Do wymordowania stu kilkudziesięciu Żydów z Kruch przyłożyła również się miejscowa ludność, która chwyciła i dobijała ranne ofiary, a potem wzięła udział w rabowaniu ich domów. Nieco inaczej przebiegały „akcje” żołnierzy 12 Kompanii 727 Pułku Piechoty stacjonujących w okolicy Szczuczyna, którzy przez kolejne miesiące urządzali sobie prawdziwe „polowania” na Żydów w pobliskich wioskach. Polowania te odznaczały się szczególną brutalnością i sadyzmem (s. 184–190).

Trochę inaczej zachowywali się żołnierze z 6 i 7 Kompanii 727 Pułku Piechoty, rozlokowani latem i jesienią w Słonimiu i w Nowogródku. W odróżnieniu od

swoich kolegów z Kruch i Krynek, żołnierze niemieccy spędzili w towarzystwie miejscowych Żydów kilka miesięcy. Przez ten czas niektórzy z nich nawiązali z Żydami kontakty handlowe i osobiste. Żydzi Słonimia sprząтали niemieckie kwatery, szyli Niemcom buty, prali dla nich, a w jednym wypadku – jak to odnotowuje Beorn – pomagali im w powiększaniu kolekcji znaczków. Odnotowano też przypadki wykorzystywania seksualnego kobiet przez żołnierzy niemieckich. Niekiedy mogło również dojść do związków o podłożu romantycznym, choć autor – całkiem słusznie – podaje w wątpliwość jakość uczuć zawiązanych w warunkach takiej dysproporcji sił. Wszystko to przestało się jednak liczyć, gdy w połowie października 1941 r. nastąpiły „akcje likwidacyjne”. Wcześniejsze spory między niemiecką administracją cywilną a dowódcami Wehrmachtu zeszły na plan dalszy, a żołnierze mimo pewnych oporów włączyli się w proces mordowania Żydów. Tak jak i gdzie indziej, niektórzy odmówili (nie ponosząc za to żadnych specjalnych konsekwencji), ale zawsze znalazło się dość ochotników gotowych pomagać zawodowym mordercom z SS. Zawsze też trafiło się kilku gorliwców (oficerów i podoficerów), którzy pociągnęli swym przykładem wahających się podkomendnych (s. 156–159). Po wymordowaniu większości Żydów Słonimia i Nowogródka żołnierze nie pozostali obojętni na resztki żydowskiej własności, kradnąc bieliznę, ubrania, zegarki, meble i inne przedmioty należące do ofiar. Przykładem świecił sam dowódca 6 Kompanii nadporucznik Fritz Glück, który do rodzinnej miejscowości Rosenheim w Bawarii wysłał pociągiem ze Słonimia (wraz z eskortą) wagon kolejowy pełen zrabowanych Żydom rzeczy (s. 162).

Przytoczone opisy działań Wehrmachtu (oraz wiele innych, które w książce zamieszcza Beorn) nie pozostawiają żadnych wątpliwości: niemieccy żołnierze, od oficerów po zwykłych szeregowych, odegrali znaczną rolę w wymordowaniu Żydów na Białorusi. Nie znaczy to jednak, że recenzowana praca jest wolna od błędów. Najpoważniejszym zarzutem są poważne luki w kwerendzie. Studia nad Zagładą na wschodzie Europy nakładają na badacza obowiązek sięgnięcia po dokumenty wytworzone w językach ofiar: w językach jidysz, polskim, rosyjskim. I w tej przestrzeni lingwistycznej amerykański badacz się najwyraźniej nie odnajduje, co więcej, kilka wywiadów z białoruskimi świadkami wydarzeń przeprowadzono za pośrednictwem tłumacza – co może (o czym wie każdy, kto przeprowadzał wywiady z ludnością miejscową na Wschodzie) w sposób istotny rzutować na ich wydźwięk i wartość poznawczą, zwłaszcza w wypadku przepytывania miejscowych (przez nieznającego języka cudzoziemca) na okoliczność wymordowania Żydów.

Już w pierwszych akapitach książki Beorn (całkiem słusznie) pisze, że szczególnie cenne dla historyka są źródła współczesne opisywanym wydarzeniom. Dlatego można się dziwić tak rażącemu zaniedbaniu, jakim jest przeoczenie przez autora relacji żydowskich z Żydowskiego Instytutu Historycznego (zespół 301), zebranych w latach 1944–1947. Źródła te, powstałe wkrótce po wydarzeniach okupacyjnych, są dla badaczy tego okresu i tego obszaru niesłychanie

ważne. Jeżeli chodzi o interesujący Beorna teren, to wśród materiałów z ŻIH znajdujemy przynajmniej 15 relacji spisanych w języku polskim i w jidysz i dotyczących zagłady miejscowych wspólnot żydowskich. Podobne rzecz się ma z Archiwum „Oneg Szabat”, czyli materiałami zgromadzonymi przez Emanuela Ringlebluma i jego ekipę w getcie warszawskim: również wśród nich można znaleźć liczne świadectwa wyniszczenia Żydów w miejscowościach, o których pisze autor³. Brak tych relacji w omawianej książce pociąga za sobą określone konsekwencje. Weźmy dla przykładu miasteczko Słonim, w którym Niemcy w październiku 1941 r. wymordowali ponad 9200 Żydów. Beorn w szczegółach opisuje (s. 143–147) ten mord, opierając się głównie na wspomnianych już niemieckich dochodzeniach, choć – co trzeba przyznać – powołuje się też na znajdujące się w niemieckich aktach nieliczne relacje żydowskich świadków. Według autora, choć samej masakry mieli dokonać SS-mani, wspomagani przez litewski oddział pomocniczy (Beorn nie poświęca mu zresztą większej uwagi), to udział żołnierzy Wehrmachtu był ogromny. Żołnierze wzięli udział w spędzaniu Żydów na rynek miasta, potem ładowali ich na ciężarówki, gnali w stronę wcześniej wykopanych rowów, po czym przyłączyli się do plutonów egzekucyjnych i sami strzelali do nagich i bezbronnych ofiar. A na koniec dobijali tych, którym udało się uciec z masowych grobów. Być może tak było. Ale materiał archiwalny, na którym wspiera się amerykański historyk, ma swoje słabości – dochodzenia prowadzone w Niemczech w latach sześćdziesiątych dotyczyły przecież udziału żołnierzy Wehrmachtu w wymordowaniu Żydów. Siłą rzeczy materiał zamieszczony w książce ogniskuje się wobec tego na tym właśnie, a nie na innych aspektach tej tragedii. Warto o tym pamiętać, gdy porównamy opis Beorna z relacją anonimowego żydowskiego świadka tych samych wydarzeń. Cytowana dalej relacja powstała najprawdopodobniej w listopadzie 1941 r., w jakiś sposób trafiła do warszawskiego getta, w ręce Ringlebluma i weszła w skład archiwum „Oneg Szabat” (ARG I 1008 [Ring. I/938] – „Słonimska rzeź”). Podkreślam raz jeszcze, że jest to relacja Żyda, naocznego świadka wydarzeń, spisana najdalej kilka tygodni po wymordowaniu Żydów Słonimia. Z punktu widzenia historyka jest to wobec tego dokument szczególnej wagi: „wieczorem dnia 14 października Żydzi, mający stosunki z Niemcami, to znaczy pracujący na placówkach, wiedzieli już o szykującym się pogromie, dowiedzieli się o przybyciu «ekspedycji» [oddziału Litwinów – J.G.], o zmobilizowaniu Gestapo, wszystkich wojskowych, żandarmerów, o mianowaniu specjalnie na tę zabawę 60 milicjantów polskich i o zaproszeniu na nią nawet robotników z «Toctu» (była to organizacja pracy zatrudniająca Polaków z Generalgouvernement, którzy się ochotniczo do niej zgłosili). Niektórzy Niemcy odmówili brania udziału w mordowaniu bezbronnej ludności i za to kilku z nich – oficerów kawalerii – zostało skazanych na karę czyszcze-

³ Zostały opublikowane w edycji źródłowej ARG, są więc łatwo dostępne: *Archiwum Ringlebluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawskiego*, t. 3: *Relacje z Kresów*, oprac. Andrzej Żbikowski, Warszawa: ŻIH, 2000.

nia koni przez okres 2 tygodni. [...] Przed wieczorem wydano rozkaz, by nikt w całym mieście nie opuszczał nazajutrz mieszkania, a około godz. 11 w nocy obstawiono całe ghetto wojskiem, które nikogo nie wpuszczało ani nie wypuszczało. Ranek następnego dnia – 15 października wstał mroźny (około 15 stopni mrozu) i słoneczny. Prószył lekki śnieżek. Już o 6 rano pojawiły się pierwsze grupy pogromców, złożone zazwyczaj z 2-ch Niemców lub Litwinów w asyście polskich milicjantów lub «todtowców». W całym mieście panowała śmiertelna cisza – Słonim zdawał się być wymarłym. Zaczęto od centrum getta, posuwając się ku jego krańcom – tak że przeszukiwano je dzielnicami, nie wszędzie jednocześnie. Każda taka grupka chodziła od mieszkania do mieszkania, wybierała stamtąd wszystkich napotkanych Żydów bez wyjątku i oddawała w ręce milicjantów, którzy ich odprowadzali do punktów zbornych. Większość Żydów nie chowała się nawet, lecz pakowała tobołki i plecaki, sądziła bowiem, że chodzi o wysiedlenie; mało kto, poza ostrzeżonymi rzemieślnikami, zdawał sobie sprawę, czym to pachnie. Część jednak się skryła, i ci przeważnie ocalili, ponieważ nie szukano zbyt dokładnie. Dokładniejszego opisu tego tak eleganckiego, tak stylowego pogromu dać nie mogę, gdyż mało kto z jego uczestników pozostał przy życiu, mogę tylko przytoczyć garstkę faktów. Niemcy – poza Gestapowcami – przeszukiwali mieszkania bardzo powierzchownie. Po prostu wchodzili, nie rozglądali się nawet dokładnie i wychodzili, wielu z nich zabrało tylko tych Żydów, którzy im się sami pod rękę nawinęli [...], natomiast Polacy z «Todt», milicjanci, a zwłaszcza Litwini przeprowadzali poszukiwania z taką skrupulatnością i gorliwością, że aż Niemcy dziwili się temu [...] w jakimś domu wszyscy mieszkańcy skryli się na strychu. Była między nimi pewna kobieta z dzieckiem, które akurat w chwili, gdy dwaj Litwini przeprowadzili w mieszkaniu poszukiwania, zaczęło płakać i nie dawało się uspokoić. Współtowarzysze, przerażeni myślą, że ich zdradzi, zmusili nieszczęśliwą matkę do zamordowania niemowlęcia, grożąc, iż w przeciwnym razie sami to uczynią. I matka posłuchała. Z przerażającym, straszliwym szeptem: «cicho, cicho kochanie», schwyciła dziecko za szyjkę i dławiła tak długo, dopóki nie wyzionęło ducha. Po tym czynie zemdląła i ocknęła się z uśmiechem na ustach. Oszałała. Niektórzy skryli się w podziemiach znajdującego się na terenie getta kościoła i mieli wszystkie szanse na ocalenie, gdyby nie dostrzegła ich jakaś zakonnica i nie doniosła o tym Niemcom. Ci oddali do wnętrza parę strzałów, wrzucili kilka granatów, a pozostałych przy życiu Żydów odprowadzili na punkt zborny”.

Gdyby Beorn uwzględnił tę (albo jakąkolwiek inną relację z zasobów ŻIH), tok jego narracji mógłby ulec znaczącej korekcie. Jak wynika z zacytowanego opisu, w akcji likwidacyjnej słonimskiego getta, widzianej oczyma ofiary i opisaną na bieżąco, podstawową rolę odegrali nie żołnierze Wehrmachtu, lecz właśnie „litewscy specjaliści”, których obecność Beorn dostrzega prawie wyłącznie na miejscu kaźni, a nie w samym miasteczku. O polskich milicjantach oraz o ludziach „Todta” (a chodzi tu – według żydowskiego świadka – o liczny kontyngent) autor nie wspomina ani słowem – a to właśnie oni mieli pełnić niebagatelną funkcję

w „akcji likwidacyjnej”. Wojsko, na którym koncentruje się autor *Marching into Darkness*, rysuje się gdzieś na horyzoncie (poza dwoma „oficerami kawalerii”, o których obecności w Słonimiu autor książki zresztą nie wspomina). Jeżeli już mowa o wojsku, to widać nawet, że w oczach żydowskiego świadka zachowanie żołnierzy (przynajmniej na tle zachowania innych uczestników „akcji likwidacyjnej”) rysuje się jako najmniej szkodliwe. Jakie można z tego wszystkiego wyciągnąć wnioski? Przede wszystkim takie, że źródła historyczne, na których autor się opiera, w sposób nieubłagany kształtują (nieraz deformują) nurt narracji. Dokumenty niemieckie, choćby wsparte świadectwami ocalałych z końca XX w., nie są w stanie zastąpić świadectw współczesnych wydarzeniom – choć, niestety, te ostatnie spisane są z reguły w „egzotycznych” językach. W wyniku takiego, a nie innego doboru źródeł autor przedstawia wobec tego niezwykle ciekawy, ale fragmentaryczny obraz opisywanych wydarzeń.

Do innych poważnych problemów metodologicznych omawianej książki należy również całkowite zlekceważenie dorobku historiografii rosyjsko- i polskojęzycznej. W płaszczyźnie źródłowej przejawia się to w pominięciu przez Beorna dostępnych od pewnego czasu powojennych dochodzeń o kolaborację, toczonych przez władze sowieckie w latach 1944–1949. Materiały te weszły w obieg naukowy i są często używane przez historyków rosyjskich, polskich, ukraińskich oraz w mniejszym stopniu – białoruskich.

Jeżeli w książce Beorna szukamy odpowiedzi na pytanie o skalę i o przyczyny uczestnictwa niemieckich żołnierzy w masakrach Żydów na Białorusi, to na pewno znajdziemy tam bogaty materiał dowodowy. Jeżeli jednak bierzemy poważnie obietnice autora, że jego celem jest też pokazanie losu samych ofiar, to lektura będzie dla nas zawodem. We wstępie do swej pracy Beorn pisze bowiem (s. 25): „historie ofiar i sprawców są nierozzerwanie sprzęgnięte. Nie można ani nie powinno się ich rozdzielać. Opowiadając nieznane wcześniej historie tych niemieckich żołnierzy, którzy zarówno mordowali Żydów, jak i im pomagali, opowiadamy również nieznane dzieje ludzi, którzy padli ofiarą Zagłady. Obecne studium koncentruje się na tych niemieckich żołnierzach, którzy znaleźli się na granicy ludzkiego okrucieństwa, zarazem jednak nigdy nie traci z pola widzenia żydowskich ofiar tego okrucieństwa”. Z tym ostatnim zapewnieniem trudno się zgodzić. Książka Waitmana Wade’a Beorna jest bowiem sprawnie napisanym i ciekawym w lekturze produktem prądu historiografii znanego jako *Täterforschung* – nurtu o dużych tradycjach, lecz o raczej niepewnych perspektywach.

Jan Grabowski